

Jan Błoński

Romans z tekstem

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (15), 1-8

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN**

dwumiesięcznik 3, 1974

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

Romans z tekstem

Przełóżam wiersze Celana:

*Kamień, z którego cię wyciosałem,
gdy noc lasy swe rozproszyła:
rzeźbiąc na podobieństwo drzewa
otuliłem się w brąz mej najcichszej sentencji
jak w korę —*

*Nic. Nie ma echa. I kamień, i las wyczerpał — dla mnie, teraz, dzisiaj!
— swe uczuciowe promieniowanie. A to „rzeźbienie w brąz najcich-
szej sentencji” — jakie banalne!*

Więc gdzie indziej:

*Światło janowca, żółte, stoki,
ropnie ku niebu, a cierni
adoruje ranę, i dzwoni
w niej, jest wieczór, nicość
wytacza swoje morza na nabożeństwo*

*Osobliwsze. Ale przecie znane już — i niepotrzebnie wymyślne.
„Ropnie ku niebu” ostentacyjnie bluźnią pospolitemu gustowi, zaś
„nicość”, co „wytacza swoje morza na nabożeństwo”, czy nie nazbyt
patetyczna?*

I nagle:

*W migdale — co tam stoi w migdale?
Nic.*

*Nic stoi w migdale.
Stoi tam i stoi.*

A cóż to takiego? Nic nie rozumiem. Nie rozumiem owego „nic”, co stoi w migdale. Ale doprawdy — „stoi tam i stoi”. Jak dziecko przed cukierkiem, jak rabin nad świętą księgą?

Czytam dalej:

*W niczym — kto tam stoi? Król
Stoi tam król, król.
Stoi tam i stoi.*

Zydowska głowo, nie możesz posiwieć.

Król? Więc ojciec, Bóg, znak prawa? Król z bajki... czy z Freuda? A głowa żydowska, czemuż ona posiwieć nie może? Mądra głowa, co przeciw sobie zwraca swoje cierpienie?

A twoje oko — ku czemu stoi oko?

A więc to do mnie? Ten refren? To potrójne wezwanie? Teraz już nie tylko ciekawość; także lęk. I dreszcz: to jest bardzo piękne.

*Ku migdałowi stoi twoje oko.
Ku nicości stoi twoje oko.
Stoi ku królowi.
Stoi tak i stoi.*

*Ludzka głowo, nie możesz posiwieć.
Pusty migdał, błękit królewski.*

Teraz już wiem, że muszę to przeniknąć. Zanim moje oko stanie ku nicości, stanie ku migdałowi — musi stanąć ku wierszowi, musi wtargnąć w jego tajemnicę.

Ale nie będę teraz rozważał Celana¹. I „Mandorla” nie jest może nawet trudnym wierszem. Odtwarzam tylko własne doświadczenie. Rzadkie, zapewne, bo poeta wielki. Ale nie różne od tego, którego zaznałem wielokrotnie. Czytając wiersze, trafiam na grzyły dziwactwa, nad którym się nawet myśleć nie chce. Na miał banału, który zamula umysł. Ale także na diamenty, które tym mocniej świecą, im bardziej nieprzenikliwe, w sobie zamknięte, niezrozumiałe oczywiste. Nie wiem — i zapewne nie dowiem się nigdy — dlaczego właśnie ten wiersz tak mnie olśnił. Na jaki trafił migdał dzieciństwa, na jakiego króla. Jaki wewnętrzny rytm odebrzmiał na po-

¹ Fragmenty wierszy Celana według: P. Celan: Wybór poezji. Wybrał, przełożył i wstępem opatrzył F. Przybylak. Warszawa 1974.

kornie chytre „stoi i stoi”. Czemu pokonał obojętność, przyzwyczajenie, nieuwagę, odwojował pozornie banalny kamień i las poprzednio przerzucanych wierszy. Czemu mnie — zakochał.

Nie potrafię zatem powiedzieć, czemu właśnie „Mandorla”. Ale to w końcu dla nikogo — prócz mnie — nie ma znaczenia. Chyba pośrednio, jako przykład. Jak analizuje się teksty? Tak, jak się je kocha (nienawidzi). Bo przecie, zanim zacznę roztrząsać wiersz, już wiem, że jest piękny (ciekawym, odpychający itd.). A jeśli rozważanie zostało ufundowane na ocenie, to ocena — zakotwiczona w niedowiedzionym, zbudowana na emocjonalnym... Jaka jest więc strategia namiętności? Tych, które badaczem powodują, i tych zwłaszcza, które w nim rozbudzają? Inaczej: jak badacz zostaje uwiedziony przez tekst? Czy literaturoznawca — jak psychoanalitik — nie powinien poddać się (choćby bez świadków, rozmawiając z sobą samym) gruntownemu przebadaniu? Poddani magii obiektywnej uczoneści, przyjmujemy (albo częściej, udajemy, że przyjmujemy) ton beznamiętny i nieosobisty. Lecz w tym samym czasie naukolodzy jak na złość coraz bardziej podkreślają rolę emocjonalnych, „nierozumnych” źródeł wszelkiej twórczości, także arcyściej... Wygnane drzwiami, namiętności wracają oknem. Humanista może oczywiście pracować tylko częścią swej osobowości: wynajmuje swej dyscyplinie — reprezentowanej przez uczelnię czy instytut — kilka godzin czasu i nie nadmierną partię neuronów. Żywsze uczucia intelektualne nie są koniecznie potrzebne do odgrywania społecznej roli naukowca: dość przejrzyć niezliczone „zeszyty”, „serie” i abstrakty, pracowicie zapełniane załącznikami do dyplomów. Zaś przytulny krąg wieczornej lampy oświetla niejedną wstydliwą tajemnicę. Hermetyczny semio-
log koi swe duchowe potrzeby Gojawiczyńską, bojowy marksista — Makuszyńskim. Lecz w tym właśnie trudność, by c a ł e g o s i e b i e zaprząć do pracy. Gęba badacza, którą mi zrobiło społeczeństwo (od studentów do ministra), jakże często tylko uczone miny stroić potrafi! Zapewne więc trzeźwiej przyznawać się do skrywanych namiętności (przede wszystkim zaś — starać się je wyodrębnić i uświadomić) aniżeli w pocie czoła montować uczoną rolę, która i tak przeświecać będzie dziurami? Ucieczka od wartościowania, lęk przed jednostkowym „wychyleniem”, wstyd przed wyłożeniem kart — czyż to nie najgroźniejsze i najbardziej porażające? Nikogo nie namawiam do spisywania impresji. Przypominam tylko, że u początku

badania tekstu stoi zawsze — stoi i stoi! — romans z tekstem. I że ten romans zaczyna się od fascynacji niezrozumiałym (choć ta „niezrozumiałość” może się objawiać na rozmaitych poziomach tekstu, także wtedy, gdy znaczenia zdają się na pierwszy rzut oka przezroczyste). Zaczyna się od bolesnego poczucia odrzucenia czy wykluczenia z czyjejs prawdy.

Tak więc tylko dzieło, które — kusząc — odrzaca, okazuje się naprawdę godne roztrząsania. „Nic co stało się całkowicie zrozumiałe — pisał Proust — nie jest już nasze”. Proces badawczy jest jednak procesem rozjaśniania? Zapewne. Ale tak samo, jak miłość jest pragnieniem zagarnięcia... Analogię można snuć dalej. Badacz może tekst przyswoić — i może się go starać rozłupać. Podobnie namiętność może zmierzać do oczarowania albo do zniewolenia. Świadectwem oczarowania jest zwykle krytyka immanentna. Czyż nie najlepiej odtworzyć wprzód program pisarza, najpierw wypowiedziany explicitie, następnie zaś — wpisany w dzieło? Krytyka immanentna jest na pewno najpokorniejszą z krytyk. I może także najsympatyczniejszą moralnie... Toteż doradzają ją zazwyczaj sami pisarze. Czy jednak w czystych intencjach? Jak tyłu innych, Valéry zalecał krytykowi, aby odkrywszy, co autor chciał właściwie zrobić, zbadał, czy ten dokonał swego rzeczywiście. U kresu obiecywał czystą rozkosz estetycznej kontemplacji, utożsamioną klasycznie z doznaniem harmonii zamiaru i spełnienia, całości i szczegółu. Postępował jak kobieta, pewna swej władczej piękności.

Prawdziwe uwodzicielki mają się jednak zawsze na baczności. Nie dowierzają swojej urodzie, świadome, że namiętność jest grą, podobnie jak grą jest wszystko, co dzieje się między pisarzem a czytelnikiem. Nie spuszczają więc oka z wielbicieli, podniecając oczekiwanie przewrotnym gestem, podbijając własną cenę niespodzianką... I tak niejeden pisarz postępuje. Powstają obecnie — jak grzyby po deszczu — prace o Gombrowiczu. Ile rozczarowań zgotował on jednak swoim glosatorom! Już, już mniemają, że uchwycili parę fundamentalnych założeń, z których wyprowadzą płynnie mechanikę dzieła. Ale wkrótce przystają, znużeni i niepewni. Cieniując i rozwijając komentarz, czują, że tekst wymyka się badaniu, opalizuje sprzecznościami. Czyżby popełnili błąd sztuki, by posłużyć się terminem lekarskiej deontologii? Jeśli tak, gotowi go naprawić: subtelniejszą analizą, obfitym przytoczeniem. Lecz po chwili przystają znowu,

zniechęceni ściganiem cienia. Zapomnieli, że pisarski autokomentarz — jawny i utajony — jest również tekstem artysty. Niby pajak, zaczajony w oku sieci, czeka on na czytelnika, aby w chwili, kiedy ten przejrzał topografię dzieła, dosnuć nieoczekiwany zakręt, skłębić nitki Ariadny... Po to właśnie Gombrowicz niestrudzenie opatrywał swe książki komentarzami. Zostały one tak pomyślane, aby — na poły myląc, na poły wspomagając krytyka — zmusić go do pokornego przemierzenia całego dzieła pisarza: do zupełnego poddania się jego odczuciom i zamiarom. I ani się taki badacz spostrzeże, jak — w najlepszej wierze — przepisze w zmienionym porządku całe dzieło Gombrowicza! Przykład skrajny, ale pouczający. Piękne to przedsięwzięcie: oblegać cierpliwie twierdzę tekstu, wypraszać tajemnice, morzyć załogę natarczywą cierpliwością... A jednak ten, kto — ogarnięty wściekłością — nie wyrzuci kiedyś zbędnych fiszek do kosza, skaże się w końcu na badawczą porażkę.

Dlatego nie wielbiciele, ale gwałciciele cieszą się zwykle głośniejszym podziwem otoczenia. Tekst najlepiej zdobyć z marszu. Ścigając cel własny — dalej położony — łatwiej wtargnąć znienacka do fortecy. Tekst zostaje wtedy nie tyle rozłamany, jak szyfr, ale rozłupany. Ostre — bo nieoczekiwane — światło pada na część dzieła, reszta, pominięta czy rozsypana, znika w cieniu jako nieistotna czy oczywista. Intencjonalna stronniczość, nieskrywana ocena (tkwiąca już w wyborze poruszanej problematyki) rodzi spontanicznie oryginalne interpretacje. Odkrycie nowego znaczenia zmienia automatycznie hierarchię pisarzy epoki. Cóż z tego, że „Filozofia Leśmiana” nikogo już dzisiaj nie zaspokaja — nawet Sandauera? Od niej jednak zaczęło się powojenne w sławę wstąpienie poety, którego przed pięćdziesięciu laty nikt nie śmiałby nawet porównać z Kasprowiczem. Lecz czy ośrodkiem, wokół którego krążyła myśl krytyka, było istotnie dzieło Leśmiana? Usiłował on już wtedy okiełznać konika „autotematyzmu”, w którym dostrzegał — słusznie czy niesłusznie — wyróżnik literatury XX wieku. Podobnie z dorobkiem poszczególnego pisarza. Kto roztrząsa dzisiaj „Quo Vadis”, kto zajmuje się współczesnymi powieściami Sienkiewicza? Wszakże „Trylogia” jest nie tylko czytana powszechniej. Jest przede wszystkim chętniej rozważana. Nie zdradziła jeszcze swoich sekretów. Sienkiewicz był zatem lepszym Polakiem niż katolikiem... Bardzo by go to zapewne zdziwiło. Kiedy jednak Brzozowski znęcał się nad „Rodziną Połaniec-

kich", miał na pewno więcej racji niż Prus, pokpiwający z „Ognien i mieczem”... A żadnemu nie szło przecie o oddanie sprawiedliwości dziełu. Raczej — o kształt kultury narodowej.

Ileż jednak bzdury w takich krytycznych szarżach! Czekam niecierpliwie na historię norwidomanii. Pokaże ona, jak — aż do dzisiaj prawie — nie chciano Norwida wysłuchać. Po prostu wysłuchać. Czegóż mu nie wmawiano! Jakich pieczeni nie pieczono na ogniu, wznieconym przez genialnego poetę! Jak dotkliwie odczuł — przepraszam, odczuliśmy — brak cierpliwych „oblegaczy”, którzy by chcieli zrozumieć to dzieło od wewnątrz! Albowiem tekst „gwałcony” wymyka się badaniom równie często, co tekst „oblegany”. Tu badaczowi grozi, że pozostanie więźniem, wchłoniętym niejako przez dzieło. Tam — że przejdzie obok swaistości tekstu, swoistości, która musi jednak zostać uchwycona w całości i przez całość. Czy nie wymownym przykładem jest „Racine” Barthesa? Skoro zdołano udowodnić, że schematy i kategorie, w które starał się pochwycić „Fedrę”, można z równym powodzeniem przypasować do „Fausta” Goethego... Skoro mówił nie tyle o Racinie, ile o tragedii w ogóle? Romanse z tekstem kończą się często zobojętnieniem. Przychodzi moment, kiedy dzieło badaczowi jałowuje. Czy dlatego, że zostało immanentnie przyswojone i niejako powtórzone wewnętrznie; czy też, że — rozłożone i wpaswane w aiekawszą całość — zobojętniało mu w tej „reszcie”, która wprawdzie może się kiedyś obudzić do nowego życia, ale tymczasem — nudzi po prostu. Często także kampania kończy się porażką i na placu pozostaje tekst. Nawet napisanie przenikliwej rozprawy nie chroni bowiem od poczucia czczości i bezradności intelektualnej. Cóż z tego, że poprawnie — a nawet doskonale — zbadał łańcuch problemów? Wysnuły się za nimi następne, i tak przewrotne, że rozwiązane straciły na znaczeniu... Nazbyt wyniosły i nieprzystępny tekst zniechęca także. Rozejrzyjmy się dookoła: ile „dobrze zaczętych” badań nad książką, autorem, epoką? I nie zawsze dlatego „nie chcą” się skończyć dobrze, że nie stać badaczowi energii i inteligencji. Często ma jej właśnie za wiele: rodzi ona więcej pytań niż odpowiedzi.

Jednak nie wszystkie porażki muszą być nieszczęściem. Zapewne, krytyk czyni wszystko, aby poddać sobie tekst. Ale często — w głębi serca — pragnie być pokonany. Intelpekt tęskni do własnej porażki. Byli krytycy — i to wśród największych — którzy nigdy nie chcieli

skapitulować. Taki był na pewno Irzykowski. Nikomu nie szczędził wskazówek i uzupełnień. Nawet żywemu pomnikowi gotów był „wpisywać” własne pomysły. Nie chciał nigdy uznać, że nie można jeszcze lepiej.

Dlatego zapewne — przynajmniej w późnej dojrzałości — unikał arcydzieł... Taki był może — choć inaczej — Brzozowski. Umiał co prawda popaść w zachwyty, ba, w ekstazę. Zaczynał wtedy mówić cudzym głosem (popadając na dobitkę w liryczenie czy nawet wierszowanie). Jakby chciał wsunąć się w cudzy tekst i przewyższyć swego idola na jego własnym terenie... Kiedy indziej wreszcie ustala się spokojny dialog obu tekstów: badanego i badającego. Zgoda na zasadniczą inność arcydzieła — na niepojęte przesunięcie znaczeń i wyglądów, które spowodowało — prowadzi do postawy poległego partnerstwa. Badacz zna słabości dzieła, po cóż by je miał jednak wykorzystywać? I dobrze wie, że nawet najgorętszy zachwyty, choć pożyteczny, niewiele tylko tekstowi pomoże... Miłość do tekstu kończy się wtedy małżeństwem z rozsądkiem.

Czy zmiany w planowaniu nauki mogą istotnie zmienić literaturoznawstwo? Rozważał to niedawno Treugutt. Posłużył się porównaniem współczesnego instytutu badawczego do manufaktury. „Pracujemy obecnie jak akumulatory podłączone szeregowo. Światło mocniejsze, kiedy więcej ogniwi”. Powstaje więc pytanie, czy można kochać teksty w manufakturze? Historia Carmen — robotnicy manufaktury tytoniowej — wróżyłaby miłości burzliwe... Lecz, mówiąc poważnie: podobnie jak Treugutt, nie przypisywałbym nadmiernego znaczenia planistycznym przekształceniom. Nauka jest taką prognozą, która samej siebie przewidzieć nie potrafi. Lecz to odnosi się do wszystkich gałęzi wiedzy. Pomyślmy raczej, czym jest wydajność, skuteczność, efektywność działalności humanisty. Nauki ścisłe sprawdzają się w doświadczeniu, techniczne — w manipulowaniu rzeczami. Instrumentalizacja humanistyki zabija myśl badawczą albo — częściej jeszcze — zwraca się przeciwko jej obłudnym mecenasom.

Zwłaszcza badanie literatury, jeśli sprawdza się społecznie, to przez odbiór dzieł — tekstów — którymi się zajmuje. Badanie literatury to także urabianie i programowanie publiczności literackiej (co odbywa się przez tysiące pośredników). Uprzywilejowuje ono zupełnie inne postawy niż manipulowanie rzeczami. Wzmacnia, nie pomniej-

sza, niepowtarzalność i bezinteresowność recepcji tekstów krążących w społecznym obiegu. Tym samym stymuluje zdolność wartościowania i emocjonalną wydolność publiczności. Obcowanie z tekstami, rozpoczęte romansem badacza, może i powinno kończyć się romansem czytelników.

Jan Błoński